

Populizm liberalizmu

19 lutego 2014

Oskarżenie o populizm to jedno z cięższych działań wytaczanych i ochoczo używanych przez zwolenników rozwiązań wolnorynkowych. W końcu nikt nie lubi wychodzić na głupka nierozumiejącego mechanizmów rządzących gospodarką i światem, którego słowa mają na celu jedynie cyniczne uzyskanie łatwego poklasku. W ten sposób oskarżenie o populizm jest skutecznym narzędziem zamykającym usta niewygodnych. Narzędziem odwołującym się do najprostszych ludzkich motywacji: po stronie oskarżonego – strachu przed ośmieszeniem, po stronie właściwego odbiorcy przekazu – poczucia intelektualnej wyższości. Tak więc w istocie samo oskarżenie o populizm jest populistyczne.

W kulawej polskiej debacie publicznej, która obok pluralizmu nigdy nawet nie stała, pewnej grupie interesów udało się wytworzyć nad sobą nimb prawdziwych ekspertów. Pracownicy sektora finansowego lub reprezentanci pracodawców stali się w oczach dużej części opinii publicznej bezstronnymi fachowcami od gospodarki. Dobrze ubrani, posługujący się piękną polszczyzną (i nie tylko polszczyzną) oraz zawsze skorzy do ironicznego uśmiechu w reakcji na głupotę prostaczków. Jakimś cudem zapomniano, że są oni przecież jedynie stroną w ekonomicznej debacie, równie uwikłaną w partykularne interesy jak wszystkie pozostałe. Dzięki wsparciu wielu ekonomistów akademickich oraz publicystów głównego nurtu udało im się wytworzyć poczucie, że ideologia neoliberalna nie jest tylko jedną z wielu doktryn ekonomicznych (i to dosyć skrajną). Wręcz przeciwnie, przekonują, że jest ona naukowym konsensusem, obiektywnym wynikiem wielu lat badań. Na tym tle pozostałe strony dyskursu (pracobiorcy, związkowcy, a często także politycy) jawią się jako ignoranci próbujący przepchać swoje niesłuszne żądania. Jako reprezentanci grup interesów, które w najbardziej prymitywny sposób starają się zdobyć poparcie nieświadomych i niewykształconych mas. Nie ulega

oczywiście wątpliwości, że polskim związkowcom przydałyby się solidne szkolenia z zakresu kompetencji miękkich. Jednak fakt, że prezentują się gorzej niż ich antagoniści, nie oznacza jeszcze wcale, iż głoszone przez nich tezy zasługują jedynie na drwinę. I nie oznacza, że są populistami.

Tymczasem gdyby się przyjrzeć, nawet pobieżnie, strategii, którą obrały środowiska liberałów gospodarczych, aby uzyskać aprobatę dla swoich racji, należy dojść do wniosku, że jest to strategia stricte populistyczna. W końcu wytworzenie wokół siebie aury fachowości i autorytetu to jeden z najprostszych sposobów pozamerytorycznej perswazji, na który już Schopenhauer zwracał uwagę w swej „Erystyce” (argumentum ad verecundiam). Co więcej, jest to sposób bazujący na bardzo prymitywnych ludzkich motywacjach. Któż nie lubi posłuchać prawdziwego eksperta, a następnie zabłysnąć zasłyszana mądrością w towarzystwie? Jak prostacko przyjemne jest wykpienie ignoranta, wytykając mu nieznaną rzecz. A jak przerażający jest spoglądający w oczy strach zbliżającego się ośmieszenia. Wręcz obezwładniający – jeszcze do niedawna wydające się silnymi, argumenty pod naciskiem kpiącego tonu eksperta nagle zaczynają wydawać się zupełnie bezpodstawnymi. Tak więc lepiej siedzieć cicho – po co się afiszować, skoro można wyjść na idiotę? Bezpieczniej jest przytaknąć i przyswoić. I właśnie na takich podstawowych motywacjach, jak wstyd czy skłonność do pychy, oparłi swą strategię przekonywania adeptów doktryny wolnorynkowej. Zwyczajni populiści, ubrani w szaty ekspertów, sami jak gdyby nigdy nic szermują oskarżeniami o populizm. Jednak ich populizm nie zasadza się tylko na metodzie perswazji. Dotyka samej istoty ich argumentów.

Jedną z najczęstszych reakcji liberalnych ekonomistów jest oburzenie na wszelkie próby podniesienia jakichkolwiek obciążeń finansowych – podatków lub składek. Zawsze pojawiają się w takich sytuacjach standardowe argumenty: „rząd kładzie łapę na naszych pieniądzach”, „państwo naszym kosztem zasypuje

dziurę budżetową” etc. W bardzo sprytny sposób zaciemniono istnienie dość oczywistej relacji między płaconymi przez nas daninami a otrzymywanymi przeróżnymi świadczeniami. I nie mówię tu tylko o świadczeniach, z których ową relację można wyciągnąć wprost – jak chorobowe czy darmowa opieka medyczna – ale chociażby o mniej rzucającym się w oczy (bo spowszedniałym) korzystaniu z dróg krajowych albo dotowanej i dzięki temu tańszej komunikacji publicznej.

Tymczasem w polskim dyskursie składka stała się zupełnie abstrakcyjną i niesprawiedliwą daniną zdzieraną przez państwo z obywateli, a najczęściej z uciemiężonych pracodawców. Nikogo oczywiście nie zainteresuje, że Polska z wpływami podatkowymi (wraz ze składkami na ubezpieczenia społeczne) na poziomie nieco ponad 30% PKB sytuuje się w tym względzie sporo poniżej średniej UE. W końcu każdy podatek, obojętnie jakiej wysokości, to rozbój w biały dzień. W takich warunkach zwiększenie wysokości np. składki zdrowotnej jest w zasadzie niemożliwe i fakt, że z nakładami na służbę zdrowia na poziomie ok. 4,5% PKB znajdujemy się w ogonie Europy, staje się zupełnie nieistotny. Przecież każdy z nas chciałby mieć więcej niż mniej w portfelu i niechętnie patrzy na każde plany zwiększenia obciążeń. Liberalni ekonomiści bardzo sprawnie wykorzystują te motywacje, tworząc w debacie publicznej atmosferę, w której każde podniesienie danin publicznych staje się kradzieżą.

Zdyskredytowano w ten sposób także redystrybucję – jeden z podstawowych sposobów walki z postępującym rozwarstwieniem – która stała się w oczach wielu zakamuflowanym złodziejstwem. Najświeższym przykładem opisywanego populizmu była histeria, jaką próbowały wszcząć środowiska liberalne na wieść o oskładkowaniu umów cywilno-prawnych. Drugorzędne było, że osoby zatrudnione na takich umowach to zaledwie ułamek ogółu pracowników (wg różnych szacunków od kilkuset tysięcy do miliona osób przy ok. 16 milionach wszystkich pracowników), a duża część tych umów już jest oskładkowana, tak więc planowane

zmiany mają w istocie marginalny charakter. Tutaj do rozpoczęcia zwyczajowego koncertu wystarczyło samo pojawienie się słowa „oskładkowanie”.

Sztandarowym chłopcem do bicia w liberalnym przekazie stało się państwo. Po wielu latach doświadczeń z okresu PRL u dużej części naszego społeczeństwa wykształciło się podskórne przekonanie, że jest ono narzuconym z zewnątrz nieprzyjaznym tworem, z którym trzeba się na co dzień użerać. Wystarczyło jeszcze tylko ekstrapolować przeżycia wielu Polaków w związku z nieefektywną państwową gospodarką PRL-u na czasy współczesne i oznajmić wszem i wobec, że państwowe gospodarowanie jest nieefektywne z samej zasady. W ten sposób środowiska liberalne wytworzyły odwróconego homo sovieticus – osobnika, który podejrzliwie patrzy na państwo i wszystko co publiczne, traktując je jak obce ciało pasożytujące na jednostkach łaknących wolności. Neoliberalny odwrócony homo sovieticus jest równie skrzywiony przez oddziaływanie PRL-u jak homo sovieticus właściwy, tylko że w drugą stronę. Zamiast instynktownie szukać całkowitego podporządkowania się władzy, zawsze i wszędzie węszy ciemieżyciela, którym jest państwo.

Po „zaprojektowaniu” w ten sposób mentalności sporej części Polaków stosowanie populizmu stało się banalne. Wystarczyło tylko przy każdej okazji dyskredytować sektor państwowy i tworzyć na jego temat przeróżne mity, które następnie spokojnie kwitły na odpowiednio użyźnionej glebie. I tak np. emerytura z ZUS-u stała się niepewna i iluzoryczna („wirtualne zapisy księgowe”), z kolei emerytura z OFE, pochodząca ze środków ulokowanych w płynnych aktywach finansowych lub w państwowych (!) obligacjach, miała zapewnić spokojny byt na starość.

Jedną z bardziej idiotycznych liberalnych opowieści, ale znakomicie wpadającą w ucho, jest mit szczególnej skłonności sektora publicznego do korupcji. Po latach afer Polacy stali się na takie argumenty bardzo podatni. Tutaj odsuwana na bok jest już zwyczajna logika – w końcu w procederze korupcji

potrzebne są dwie strony i ta druga najczęściej jest reprezentantem sektora prywatnego. Wystarczy przypomnieć, że zdecydowanie największa pod względem liczby postawionych zarzutów afera korupcyjna w Polsce miała miejsce w sektorze prywatnym – a dokładnie w polskiej lidze piłkarskiej. Tak więc skłonność do korupcji w obu sektorach jest przynajmniej taka sama. Gdybyśmy wyeliminowali zupełnie sektor państwowy, liczba łapówek wcale by nie spadła – po prostu byłyby one rzadziej ujawniane, gdyż w sektorze prywatnym przekupstwo dużo trudniej wykryć, a udowodnić czasem nie sposób.

Innym mitem, którym neoliberałowie karmią odwróconego homo sovieticus, jest nieefektywność sektora państwowego. Przykładów nieefektywności sektora prywatnego jest co najmniej tyle samo. Znakomicie ilustruje to np. prywatna służba zdrowia w Stanach Zjednoczonych. Jeśli chodzi o średnią siłę nabywczą na osobę, USA plasują się z reguły na 2. miejscu na świecie (po Luksemburgu), za to już pod względem stanu zdrowia obywateli na miejscu około 30. Najświeższym przykładem nieudolności firm prywatnych są obecne kłopoty sądów z dostarczaniem listów przez InPost. Włos się jeży na głowie, gdy pod koniec stycznia br. słyszy się od pracowniczki jednego z sądów, że od początku roku nie otrzymała z powrotem jeszcze żadnej „zwrotki” z wysłanych pism (czyli dowodu odbioru). Nie byłoby wcale dziwne, gdyby pracownicy InPost po prostu je wyrzucali – po co komu jakiś świstek papieru?

Przykłady populistycznych wycieczek liberałów gospodarczych można mnożyć w nieskończoność. Większość neoliberalnego przekazu składa się z wyświechtanych i dawno obalonych frazesów, które można przewidywać w ciemno jeszcze przed dyskusją oraz recytować bez zająknięcia, nawet będąc obudzonym w środku nocy. Każde podniesienie płacy minimalnej oczywiście skończy się wzrostem bezrobocia (pomimo że są koncepcje mówiące, iż w niektórych sytuacjach jej podniesienie może spowodować wzrost zatrudnienia), a każdy dodruk pieniądza naturalnie zakończy się szalejącą inflacją (to nic, że Japonia

drukuje na potęgę, a o inflacji raczej marzy, aniżeli się z nią zмага). Gdybym miał przeprowadzić wywiad z Leszkiem Balcerowiczem, wcale nie potrzebowałbym do tego Leszka Balcerowicza. Sam odpowiedziałbym na postawione pytania. Co więcej, prawdopodobnie uzyskałbym autoryzację, gdyby zabiegany profesor uznał, że wywiad umknął mu z pamięci.

Na szczęście dominacja neoliberalnej doktryny powoli zaczyna się kruszyć. Jak lubi ostatnio powtarzać Rafał Woś z „Dziennika Gazety Prawnej”, krytycy kapitalizmu w końcu powyłazili ze swych nor i coraz śmielej wskazują jego słabe strony. Oby jego obserwacja okazała się prawdziwa. A więc drodzy sceptycy wolnego rynku – powyłazmy z nor. To nie my jesteśmy populistami.

Autor: Piotr Wójcik

Źródło: [Nowy Obywatel](#)